

Dawid Juraszek

小
龙

Xiao Long

Jedwab i porcelana

NIEBIESKI SMOK

TOM II

RW2010

DAWID JURASZEK
JEDWAB I PORCELANA
Tom II
NIEBIESKI SMOK

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja i korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Dawid Juraszek 2013

Okładka Copyright © Mateo 2014

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-021-9

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Spis treści

Rozdział I	
w którym Xiao Long walczy z oporem materii, żywiołami i własną słabością.....	5
Rozdział II	
w którym pojawia się jedna jedyna isierka radości, lecz nie dla Xiao Longa.....	13
Rozdział III	
w którym po strasznej nocy nadchodzi straszny dzień.....	20
Rozdział IV	
w którym Xiao Long cierpi wewnątrz i zewnątrz.....	29
Rozdział V	
o gościnności i tajemniczości mnichów, a także o zakłopotaniu i zadaniu Xiao Longa.....	37
Rozdział VI	
w którym pewne rzeczy się wyjaśniają, a inne zaciemniają jeszcze bardziej.....	44
Rozdział VII	
o tym, jak Xiao Long borykał się z brakami w pamięci, przyborach i umiejętnościach.....	52
Rozdział VIII	
w którym cel zadania staje się wreszcie jasny, ale los bakałarza niekoniecznie.....	59
Rozdział IX	
o tym, jak Xiao Long próbował się odnaleźć.....	69
Rozdział X	
o zderzeniu zamierzeń z rzeczywistością.....	83
Rozdział XI	
o skutkach zadawania się z cudzoziemcami, zwłaszcza przy winie.....	90
Rozdział XII	
o tym, jak Xiao Long znalazł się na łasce i niełasce przybyszów z Południowego Królestwa..	96
Rozdział XIII	
o potędze Długiej Rzeki.....	103
Rozdział XIV	
w którym Xiao Long stawia czoło próbie niemal ponad siły.....	112
Rozdział XV	
o przyjmowaniu poczęstunku z rąk nieznajomego.....	118
Rozdział XVI	
w którym Zhang Liangbi wykorzystuje swą władzę nad bezsilnym Xiao Longiem.....	124
Rozdział XVII	
w którym Xiao Long stara się przechytryć Zhanga Liangbi.....	129
Rozdział XVIII	
w którym Xiao Long odkrywa, kto krzyczał, sam także krzyczy, i krzyczy również Zhang Liangbi.....	134
Rozdział XIX	
w którym Xiao Long odkrywa tajemnicę dziewczyny i jej rodziny.....	141

Rozdział XX	
w którym Xiao Long trafia do nowego miasta i na starego znajomego oraz odnajduje, co zgu- bił.....	151
Rozdział XXI	
w którym okazuje się, że nic nie jest takie, jakie miało być.....	163
Rozdział XXII	
o upiorach nie tylko przeszłości.....	172
Rozdział XXIII	
o tym, jak Xiao Long próbował wydostać się z owładniętego przez demony miasta i dotrzeć do Smoczyc Wrót, oraz o tym, kogo spotkał po drodze.....	183
Rozdział XXIV	
o tym, jak Xiao Long spotkał sędziwego mnicha z dalekich krajów i co ów postanowił.....	194
Rozdział XXV	
o odpowiedziach, wątpliwościach i postanowieniach.....	202
Słowo o transkrypcji.....	211

Rozdział I

w którym Xiao Long walczy z oporem materii, żywiołami i własną słabością.

Unoszący się w wodzie chałat wyglądał jak kolejny trup. Xiao zacisnął zęby i postawiwszy mocno stopy na obmywanym nurtem rzeki głazie, pochylił się po sznur. Szarpnął nagle i ze stęknieniem poderwał chałat do góry. Ledwo zgojona skóra na ramieniu zapiekła krótko. Woda wybrzuszyła na chwilę materię, ale kiedy wypłynęła szwami i przetarciami, chałat nie obwiśł, lecz żył własnym życiem, podrygując cały i machając zawiązanymi rękawami jakby w bezsilnej złości i daremnej rozpacz. Xiao zarzucił roztrzepotany wór na ramię i przeszedł po głazach na brzeg.

Po opuszczeniu kanionu Rzeka Tuzina Zakrętów przestawała zasługiwać na to miano, prostowała się bowiem i rozlewała szeroko pośród bujnego gąszczu, walczącego o lepsze ze skalnymi zwaliskami. Dzika okolica nie pozwalała mieć nadziei na ludzką pomoc, ale i obaw przed człowieczą niegodziwością. Dla uciekiniera, jakim był Xiao, odludzie stanowiło bezpieczną przystań.

Tratwa wciąż miała postać stosu zrąbanych mieczem bambusów, leżących w płytkiej wodzie, ale Xiao musiał wpierw zadbać o strawę. Od brzasku zasypywał rzeczny żywem kilka ciał, które pochował w zaimprovizowanym grobie między skałami pośród gęstwiny. Tylko tak mógł ustrzec się zemsty wodnych upiorów, w które obdarci przezeń z odzienia i dobytku zmarli zmieniliby się niechybnie, gdyby powierzył ich ciała rzece. Teraz miał zapas sukna porzniętego na pasy, trochę sznura oraz parę lepszych lub gorszych noży, ale i omdlałe mięśnie, pod powiekami zaś martwe twarze i bezwładne ciała.

Wysypał na brzeg połów, złapany na znalezionej wcześniej śniętą rybę, wypatroszył, jak umiał, a potem rozłożył na rozgrzanej skale. Miał nadzieję, że do wieczora słońce wysuszy mięso dość, by nadawało się do jedzenia. Od rana miał w ustach tylko wodę, tęsknił więc do jadła. Tymczasem siadł przy stercie bambusów i jął wiązać je niemrawo, leniwie krążąc myślami wokół prażących się rybich tusz. Wspinające

się na nieboskłon słońce było niemiłosiernie; Xiao czuł, że powinien schronić się w cieniu, lecz nie mając siły wstać, zwilżał tylko wodą rozpuszczone włosy. Wreszcie, kiedy umysł zaczął mu się mącić, zebrał się w sobie i przeniósł pod drzewa, nie zważając na cierniste pnącza oraz uprzykrzone owady.

Kiedy się ocknął, słońce zniżało się już ku zachodowi. Walcząc z zawrotami głowy, poszedł po ryby i odgoniwszy ważki, wgryzł się w cuchnące mułem mięso. Kęsy rychło zaczęły rosnąć mu w ustach, ale zjadł wszystkie oprócz jednej, którą chciał wykorzystać na nową przynętę. Potem, odpędzając rozleniwienie, wrócił do tratwy i podjął wiązanie bambusów najszybciej, jak potrafił. Nie uśmiechał mu się kolejny nocleg na tym brzegu. Nocny spływ po nieznanym wodach był niebezpieczny, ale i tak lepszy od spania na kamieniach obok zarośli, które w ciemności ożywały, rozbrzmiewając nie tylko krzykiem nocnych ptaków, żabimi rechotami czy cykaniem świerszczy, ale i stąpieniem niewiadomych bestii. Jeszcze jako dziecko nasłuchiwał się opowieści o taotie, owłosionych człekopodobnych stworach ze zwierzęcymi mordami, które wedle jednej z legend mieszkają na południu i napadają na samotnych podróżnych. Teraz przekonywał się, że z takich strachów nigdy się nie wyrasta.

Kiedy jednak zepchnął tratwę na wodę i wszedł na nią, zaklął, a potem z najwyższym trudem powstrzymał łzy. Pod jego ciężarem wiązania rozstały się, a środek tratwy zanurzył na szerokość dłoni pod powierzchnię. Bez wzmocnienia konstrukcji jakakolwiek myśl o spływie była szaleństwem.

Słońce już zachodziło, las mroczył. Xiao wypatrzył grupę głazów wystających z toni kilkadziesiąt kroków od brzegu i zanurzając się do pasa, zawlókł tam rozlazłą tratwę, a potem cały dobytek spakowany do wora-chałatu. Umocowawszy tratwę na skałach, zastawił nieopodal kolejną pułapkę na ryby i położył się, drżąc z zimna.

Całą noc nie zmrużył oka, nasłuchując, czy któraś z przemierzających gęstwinę bestii nie zmierza doń przez wodę. Ledwo brzask rozjaśnił niebo, wrócił na brzeg, by podjąć pracę, z najwyższym trudem powstrzymując się od drapania puchnących

miejsce po ukłuciach moskitów. Koło południa tratwa ze związanych na krzyż bambusów spoczęła na wodzie i nie załamała się już, kiedy na nią wsiadł. Zjadł suszące się od rana ryby, załadował na tratwę wór z całym dobytkiem i odpychając się długą żerdzią, zakończoną kawałem rozplatanego wzdłuż grubego bambusa, dał się złapać głównemu nurtowi.

Rzeka rozlewała się szeroko, usypiająco kołysząc tratwę. Xiao stał długo z żerdzią w dłoni i pilnował sytuacji. Kiedy jednak oswoił się z otoczeniem i poznał, że pod wodą nie kryją się groźne skały, zmęczenie wzięło górę nad obawą. Krótko obserwował okolicę na siedząco, potem zwiesił strudzoną głowę, wreszcie przechylił się i złożył skroń na wilgotnych bambusach.

Tratwa zadygotała nagle. Zdławiony zgrzyt przejął bakałarza dreszczem. Pode-rwał się i dźgnął toń żerdzią; zanurzywszy się ledwo na dwie piędzi, uderzyła w skałę. Kolejny dygot i chrobot, tratwa zakołysała się, zakreśliła. Xiao sapnął nerwowo. Dno rzeki podchodziło pod powierzchnię, i nie było to dno piaszczyste i przyjazne, lecz skalne i srogie.

Jał rozglądać się za najłatwiejszym miejscem na lądowanie, ale tratwa sunęła dalej gładko, nieniekajona już zdradzieckimi skałami. Brzegi były dzikie, a rozciągający się za nimi kraj niezamieszkały. Xiao nie czuł się na siłach podjąć pieszej wędrówki, póki nie zmusi go do tego sama rzeka.

Usiadł na powrót, dając mdlejącym nogom odpocząć. Zaczerpnął dłonią wody i zwilżył usta. Czuć ją było mułem, ale gasiła pragnienie. Zmoczył włosy, które słońce zdążyło już wysuszyć, i położył się na wznak, zgiętym ramieniem osłaniając twarz przed słońcem – i światem.

Musiał znów się zdrzemnąć, bo kiedy tratwą podrzuciło ponownie, chrobot nie rozległ się jak poprzednio w kojącej ciszy. Xiao poderwał się i spojrział przed siebie, ku źródłom przyprawiającego o dreszcz szumu.

Spomiędzy wzgórz na północnym brzegu wypływała oto szeroka rzeka. Trudno było orzec, co tu było czyim dopływem; dość, że nowe wody nie miały czasu uleżeć się we wspólnym nurcie. W dali bowiem na całą szerokość rzeki rozciągał się niewróżący nic dobrego opar. Mroczna toń przybierała tam białą barwę, rodząc złowrogi szum.

Kolejny dygot i chrobot. Tratwa okręciła się wokół własnej osi tak gwałtownie, że Xiao stracił równowagę i upadł. Wór ześlizgnąwszy się, z pluskiem zniknął w odmętach, zimna fala zalała tratwę, w jednej chwili do szczętu mocząc odzienie bakałarza. Zatrząśł się, ale wstał, kurczowo dzierżąc żerdź, i klnąc, rozejrzał się po rzece. Nurt wciąż był spokojny, lecz delikatnie rozfalowaną toń pstrzyły coraz częściej białe plamy rozbryzgów, zwiastując rychłe przejście w rwącą kipieli i bezlitosne wiry. Nie tracąc czasu, Xiao zanurzył żerdź w wodzie i to wiosłując, to odpychając się od wypiętrzonych niemal pod samą powierzchnią skał, jał zdążać ku południowemu brzegowi.

Ręce omdlewały mu już, a wiązania tratwy rozchodziły się pod rosnącą siłą nurtu, kiedy wreszcie bambus uderzył o skałę tak płytko położoną, że niemożliwą do pokonania. Xiao nie szukał drogi wokół, od razu przeskoczył na głaz. Od nadbrzeżnych zarośli dzieliło go już tylko kilkadziesiąt kroków przez labirynt omszałych głazów. Brzęczenie cykad prawie zagłuszało tu szum bliskiej kaskady. Xiao z najwyższym wysiłkiem wyciągnął tratwę na głazy i padł na nią wyczerpany.

Dopiero gdy nieco odzyskał siły, podniósł się znów i rozejrzał. O dalszym spływie nie mogło być mowy; rozhukane kaskady ciągnęły się od brzegu do brzegu, spowijając całą okolicę duszną mgiełką. Pobrzeżne skały porastał gąszcz tak zbity, że Xiao porzucił jakąkolwiek myśl o przeciągnięciu tratwy lądem w dół rzeki. Pozostało mu iść piechotą, a kiedy kaskady się skończą, wybudować nową tratwę. Chyba że po drodze natknie się na jakąś ludzką osadę. Rozglądając się wszakże po niegościnniej okolicy, czuł nie tylko zwątpienie, ale i nadzieję, że tak się nie stanie. Nie

miał pojęcia, kogóż może tu spotkać. Chciał jedynie płynąć, byle dalej, aż trafi na jakieś większe miasto.

Sięgnął po miecz i poprzecinał zdobyte z takim trudem wiązadła tratwy. Stos bambusów pozostawił między głazami, zaś kłęb szmat oplótł sznurem i założył sobie na plecy. Związawszy włosy, ruszył z mieczem w zarośla.

Otoczyły go nieznośna duchota, lepka wilgoć i ogłuszający szmer cykad. Wokół jego głowy nieustannie unosiła się chmara owadów wszelkich gatunków i rozmiarów. Wzdrygnął się cały, widząc podskakujące na wysokość dorosłego mężczyzny olbrzymie pająki. Raz nieopatrznie potracił mrowisko, zwisające z gałęzi na kształt długiego sopla. Długo musiał wytrzeptywać spod chałatu wielkie, kaśliwe mrówki.

Zrazu ciał zieleń zagradzającą mu drogę, lecz wkrótce przekonał się, że ostre kikuty czynią mu większą szkodę. Przeciskał się zatem przez zarośla, trzymając się brzegu na tyle, na ile było to możliwe. Kiedy jednak gąszcz zmusił go do oddalenia się od bezpośredniej bliskości rzeki, stwierdził, że las rzednie, przechodząc miejscami w długie polanki, zarosłe sięgającą barków trzciną. Ruszył raźniej przed siebie.

Szum przeszedł w łoskot, a potem w grzmot. Xiao czuł pod stopami wibrowanie skalnego podłoża. Ciekaw był kaskady i rad by ją zobaczyć, ale gąszcz stanowił nieprzeniknioną zapórę. Tylko kłęby oparu unoszącego się nad koronami drzew świadczyły o kotłującej się nieopodal topieli.

Polanka skończyła się i Xiao musiał znów wstąpić w las. Przez zarośla widział następny prześwit, wędrował więc ochoczo. A kiedy wreszcie wyszedł na kolejną polankę, aż jęknął.

Nad korony drzew dźwigało się nieforemne zwalisko skalne. Strome z jednej strony, z drugiej wznosiło się łagodnie, dając nadzieję, że można się wdrapać na sam szczyt i stamtąd podziwiać kaskadę. Xiao przyspieszył i wkrótce wspinał się już, wydatnie pomagając sobie rękoma. Skała była pokryta gruzłami i porosła mocnym pnączem. Ze sterczących wokół gałęzi zwisały się brzoskwiniopodobne owoce. Na-

rwał ich kilka, a potem zdjął szmaty z pleców, rzucił je na wierzchołek skały i podźwignął się w ślad za nimi.

Straszliwy, fascynujący widok uderzył go w oczy:

siedem skalistych grobel staje na drodze Rzeki Tuzina Zakrętów

sterczą czarne, oślizgłe, zębate, poszarpane

między nimi samotne skały porośłe najwytrwalszymi z pnączy rzucają posepne cienie

rozszała, rozwścieczona, rozbita na białą miazgę rzeka tłucze o przeszkody całym swym ciężarem

usiłuje pokonać je karkołomnym skokiem

i pryska, zmuszona do odwrotu

lecz niezrażona wgryza się w skały

skręca w potworne wiry

wybuchu słupami w górę

wrze jak ukrop

zieje ze zmęczenia

i ostatnim gniewnym wysiłkiem może wreszcie lunąć przez wyżarte przejścia

lecz znów rozlega się grzmot i szum przeraźliwy

bo przy każdej grobli powtarza się zażarta walka i szaleńczy zamęt

z wyciem dzikiej kipieli miesza się paniczny wrzask ptactwa

nżej zaś, daleko za najdzikszym rozhukaniem żywiołów, w rozkrętach fal, gałęzie, pniaki i wszelki śmieć wodny podrygują jakby przerażone tym, co napotkały w rozryczanej gardzieli i uciekają w popłochu ku pokorniejszym wodom.

Xiao długo nie mógł nasycić się widokiem tej nienasyconej otchłani, lecz wreszcie ssanie w żołądku odwróciło jego uwagę. Zresztą i strach jakiś zabobonny go zdjął, jakby zbyt długie spoglądanie na to dziwowisko natury mogło spowodować nań pomieszanie zmysłów. Wgryzł się w chrupki miąższ owoców i rozejrzał po okolicy.

Kanion Rzeki Tuzina Zakrętów majaczył na wschodzie, obramowany fantastycznymi postaciami gór i kłębowiskami wyniosłych chmur. Na południu szczyty ciągnęły się bez końca, ku nikiem we mgle i tajemnicy krainom. Na zachód dżungle walczyły o lepsze z łańcuchami wzgórz, których mroczno zielone zbocza przywodziły na myśl cielska leżących bawołów.

Wtem Xiao zamarł. Jego wzrok ześlizgnął się po lasach i górach i pomknął w dół, gdzie na jednej z otaczających skałę polanek mignęły ludzkie sylwetki.

Słodki sok spłynął bakałarzowi kąciem ust. Taotie? – przemknęło mu przez głowę, ale z miejsca skarcił się za ten straszny pomysł. Czyżby armia cesarska dotarła aż tutaj? Postaci znajdowały się między kaskadami a skałą, na której stał. Zaraz powinny ukazać się znowu na kolejnej polance. Drżąc, bacznie przepatrywał las. I nie na darmo. W prześwicie sylwetki znów się pojawiły. Tym razem na dłużej.

Nie byli to cesarscy żołnierze. Ale i nie pobratymcy mieszkańców skalnych twierdz, ani też taotie. Ci ludzie byli nadzy, jeśli nie liczyć przepasek na biodrach, obwieszonych nożami i innymi przedmiotami. Ciała mieli wymalowane w wielobarwne wzory. W rękach dzierżyli włócznie i łuki.

Dzicy!

Xiao przypadł do skały, wciskając się w szczelinę. Serce waliło mu jak młotem. Sam nie wiedział, czego bardziej się bać: żołnierzy, którzy mogli doprowadzić go przed oblicze cesarskiej sprawiedliwości, mieszkańców fortów, którzy mogli paść chęcią zemsty, czy wreszcie dzikusów, którzy mogli zgotować mu straszną śmierć. Zamknął oczy, nasłuchując. Poza hukiem kaskady nie słyszał jednak nic. Widział za to kikuty gałęzi, stratowane zarośla, powyrywane pnącza. Śladów zostawił aż nadto, by zaalarmować mieszcucha, a co dopiero dzikus wychowanego w dżungli. A wtedy...

Zacisnął zęby i czekał.

Jeśli ciekawi Was, czego Xiao się doczekał i czy warto było czekać, nie czekajcie, tylko czytajcie dalej!

Rozdział II

w którym pojawia się jedna jedyna iskierka radości, lecz nie dla Xiao Longa.

Rozkołatane serce Xiao zaczęło się uspokajać. W szum kaskady nie wkładał się żaden podejrzany dźwięk. Bakałarz nie wiedział, dokąd zmierzali tubylcy, ale nawet jeśli ich droga prowadziła u podnóża skały, powinni byli już ją minąć. I chyba minęli, skoro Xiao nie słyszał odgłosów pogoni.

Otworzył oczy i podniósł się nieco, by rozeznąć sytuację. Rozum mówił mu, że niepotrzebnie ryzykuje, wystawiając głowę ponad skałę, lecz ciekawość przemogła. Szybko i bacznie obrzucił spojrzeniem okolicę. Las był pusty, jednak kiedy wzrok Xiao powędrował w górę rzeki, z ust bakałarza wyrwało się przekleństwo.

Kilkanaście wąskich, długich czółen przemierzało w poprzek rzekę. Jeśli dobrze oceniał prędkość, z jaką nurt spychał dzikusów ku kaskadom, miejsce lądowania znajdowało się nieopodal skały.

Zapadł znów w skalną rozpadlinę i zadumał się ponuro. Jeżeli dzicy rozłożą się tu obozem, lub chociaż przejdą większą grupą, niebezpiecznie będzie schodzić z powrotem w las. A przecież prędzej czy później musi zejść na brzeg i zbudować kolejną tratwę.

A jeśli... jeśli zechcą rozejrzeć się po okolicy z najdogodniejszego punktu widokowego?

Zdjął go strach jeszcze większy. Że też akurat tutaj musiał trafić na kaskady! Inaczej spłynąłby już daleko w dół rzeki, z dala od dzikusów, bliżej miast na zachodzie. Co robić, myślał gorączkowo. I poza przeczekaniem nic nie przychodziło mu do głowy.

Przekręcił się na drugi bok, osłonił twarz dłonią. Słońce przypiekało, a on nie miał wody. Na szczęście zaszumiały gałęzie, zapowiadając chłodny podmuch. Bakałarz sięgał po owoce, kiedy uświadomił sobie nagle, że szumowi listowia nie towa-

rzyszy wiatr. Powietrze stało nieruchomo jak przedtem. Fala nieprzyjemnego ciepła rozlała mu się po brzuchu.

Znów szelest.

Sięgnął za plecy, po miecz. Nim zdążył dobyć broni, padł nań cień kilku odzianych tylko w przepaski biodrowe dzikusów, którzy wskoczyli na skałę jakby znikąd. Wytatuowane w różne zwierzęta ciała sprężyły się do ataku, włócznie mierzyły w bakałarza, a spomiędzy czarnych, spiłowanych zębów dobywały się groźne dźwięki obcej mowy.

Xiao znieruchomiał. Paraliżujący strach szedł w parze z nakazami rozumu – jeden ruch mógł wyzwolić zabójczy cios. Najbliżej stojący dzikus szturchnął bakałarza włócznią; Xiao zagryzł zęby, ale ani drgnął. Napastnicy wymienili bełkotliwe uwagi. Naraz dwóch schwyciło niestawiającego oporu młodzieńca i cała grupa jęła schodzić ze skały.

Dopiero na dole Xiao przekonał się, w jakie tarapaty wpadł. Dżungla roiała się wprost od dzikusów, zbrojnych we włócznie i łuki. Niektórzy nieśli na drągach pojemne plecione kosze. Widok ich zawartości przejął zgrozą jestestwo bakałarza.

Oto znad krawędzi patrzyły ku niemu martwym wzrokiem poobijane, zdeformowane, okrwawione czerepy cesarskich żołnierzy.

Wzdrygnął się, jęknął, przystanął. Tubylcy szarpnęli nim ostro raz i drugi, wbijając w ramiona zaostrzone w szpic paznokcie, ryknęli coś groźnie nad uchem, wreszcie podstawili pod twarz groty włóczni. Dopiero wtedy zwiesił głowę na pierś i na wpół przymknąwszy oczy, pozwolił się prowadzić dokądkolwiek.

Jeszcze przed chwilą siedział w słońcu, patrząc na oszałamiający krajobraz, z perspektywą trudnej, ale możliwej do zrealizowania ucieczki. Teraz w oczy zajrzała mu śmierć, i to śmierć straszliwa, śmierć skazująca na wieczną tułaczkę po bezdrożach na krawędzi tego i następnego życia, śmierć niezawiniona i niepotrzebna. Bo

przecież gdyby to odeń zależało, żaden Człowiek Środka nie ruszałby z mieczem na Dalekie Południe.

Xiao szedł pośród dzikusów jak pijany. Pod powiekami przewijały mu się tysiące obrazów. Widział pod sobą przepaście Świętej Góry Heng, przed sobą rozłożyste dachy siedziby Czerwonego Tygrysa, nad sobą majestat Podniebnego Fortu. A ze wsząd otaczała go duszna puszcza, spalona słońcem trawa polan, błotniste rzeczulki i wydeptane przez lata głębokie koleiny ścieżek. I dziesiątki, setki dzikusów, w których wytatuowanych rękach leżało teraz jego życie.

Widoczne i niewidoczne owady napępniały gęszcz kakofonią dźwięków, ptaki zrywały się z gałęzi, małpy nawoływały ostrzegawczo. Ta swoista muzyka dżungli zlewała się w jedno z dziwnie ostrą mową dzikusów. Tylko on, bakałarz z dalekiego Hengshanu, nie pasował do tego świata.

Wtem spoza ściany gęszczy dobiegły perliste śmiechy. Xiao podniósł głowę. Czy to złudzenie? Czy to wysunięci na czoło pochodu dzicy wojownicy tak radośnie dawali wyraz zwycięstwu nad intruzami? Bakałarz przebiegł wzrokiem po obliczach kroczących nieopodal mężczyzn, ale zanim rozszyfrował ich wyraz, polana zakreśliła łagodnie, a oczom Xiao ukazała się wioska nad brzegiem rzeczki. Oto jak wyglądała:

drogę rzeczulce zagradza tama ze zmurszałych głazów i pni
w strugach tryskających z przebijających ją rur bambusowych uwija się kłębowi-
sko nagich brązowych postaci
starsi mężczyźni z oszczepami w dłoniach polują na ryby
kobiety piorą szmaty
nagie dzieci baraszkują wesoło
za nimi, na zboczu, pośród bananowców, stoją długie i wąskie, pozbawione
okien chaty bambusowe o spadzistych trzciniowych dachach
największa z chat, długa na sto kroków, odstrasza nieproszonych gości rogatymi
czaszkami bawołów

nad kilkoma ogniskami unoszą się słupy dymów
na glinianych klepiskach pod ścianami kobiety ubijają coś drągami w kamiennych moździerzach
nie baczą na prosięta, kury, psy i małpy uwijające się wokół
na jednym skraju wioski kryje się w cieniu kilka słoni ze spętanymi przednimi nogami
na drugim stoją bambusowe klatki
cienie w ich środku zalegają ciemniej niż w pobliskiej dżungli
na widok wynurzających się z dżungli wojowników rozlegają się krzyki i piski radości
kilkanaścioro dzieci puszcza się biegiem, by powitać przybyszów
kobiety prostują się, zasłaniając oczy dłońmi
mężczyźni wznoszą w górę włócznie i wymachują nimi na powitanie.
Xiao znów spojrzał na otaczających go dzikusów. Ciemne twarze rozjaśniało wewnętrzne światło.

Większość grupy szła prosto ku rzece, ale eskorta Xiao pchnęła go w bok, ku bambusowym klatkom. Posłusznie wchodząc w mętny nurt rzeki, obejrzał się. Za nimi szło kilka par dzikusów niosących kosze z okropną zawartością. Strach, na chwilę przyćmiony widokiem wioski, znów przeszył bakałarza. Lecz nie szarpał się już; zagryzł tylko wargi i skupił się na stąpieniu przez nierówne koryto rzeki.

Najpierw wzmożony brzęk much, a potem mdlący odór kazały jeńcowi wreszcie podnieść wzrok. Zbliżali się do klatek z bambusowych żerdzi i lian. Xiao widział na razie jedynie ich zarysy, ale kiedy tylko ze słońca rozświetlającego rzekę i jej brzegi wstąpili w bambusowy las, a źrenice przywykły do wilgotnego cienia, Xiao, nie zważając na żelazny uścisk dzikich, szarpnął się znowu.

W klatkach leżeli martwi już lub dogorywający żołnierze. Obok, w rozgrzebanych stosach, spoczywały odcięte głowy.

Wojownicy przełamali opór bakałarza i przemocą wepchnęli go do najbliższej klatki. Ledwo powstrzymując krzyk, stanął na palcach wyprężony jak struna, by nie dotknąć obsiadłych przez muchy i cuchnących nieznośnie ciał. Drżąc, wystawił pobladłą twarz przez kraty i próbował łapać świeższe powietrze.

Tymczasem na miejsce dotarli też tragarze. Kosze przechylono i z ohydny murem na ziemię wysypały się dziesiątki nowych głów. Xiao zgiął się wpół i jęknął, a potem zwymiotował pod nogi.

Jeszcze długo po opróżnieniu żołądka walczył z torsjami. Kiedy nie miał już więcej żółci, dzicy odeszli ku wiosce. Przy klatkach zostało tylko dwóch strażników, cicho gwarzących ze sobą, siedząc w kucki, i leniwie oganiających się od much. Ale zaraz od strony wioski dobiegły głosy. Xiao spojrzał przekrwionymi oczami w tamtym kierunku.

Oto ku klatkom kierował się kilkunastoosobowy orszak. Na jego czele kroczyła stara kobieta o długich na pół łokcia uszach, obciążonych okrągłymi, metalowymi kolczykami. Podobnie obwisłe nagie piersi zwieszały się jej aż do pasa, gdzie zaczynała się ciemna spódnica. W dłoni trzymała rzeźbioną włócznię. Za nią zdążali zbrojni w dzidy postawni wojownicy z przepaskami na biodrach. Gdy się zbliżyli, Xiao dojrzał na twarzy kobiety tatuaże przedstawiające węże. Takie same tatuaże pokrywały całe ciała muskularnych wojowników.

Orszak zatrzymał się przy stercie najświeższych czerepów. Kobieta grotem włóczni przebierała w stosie, co jakiś czas donośnym „E!” wskazując którąś z nich. Najbliżej stojący wojownik natychmiast nabijał ją na dzidę i szedł na tył orszaku. Wybrawszy kilkanaście obrzydliwych trofeów, kobieta bez słowa odwróciła się i poprowadziła wojowników z powrotem do wioski.

– Będą je wędzić przy swych ogniskach... – mruknął ktoś niewyraźnie.

Xiao zrazu nie zrozumiał. Nie tylko dlatego, że głos był słaby, lecz także dlatego, że nieznajomy mówił z silnym północnym akcentem. Bakałarz rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu mówcy.

– Tutaj...

W sąsiedniej klatce coś się poruszyło. Bakałarz chwiejnie przestąpił trupy dzielące go od drugiej strony więzienia i wystawił twarz przez otwór.

Na szczycie ciał leżał mężczyzna. Żył, choć na pierwszy rzut oka zdawał się martwy. Czarne od skrzepłej krwi oblicze i także kolczuga upodobały go do ofiary jakiejś straszliwej masakry. I pewnie był nią w istocie.

– Kim jesteś? – wyjąkał Xiao.

– Poddanym cesarskim – wyszeptał mężczyzna. – Schwytali mnie podczas rekonansu. Tylko ja uszedłem żywy z całego oddziału. A ty?

– Ja też – odpowiedział krótko bakałarz. Wargi mu drżały, gdy dodał zaraz: – Co z nami zrobią?

– Zabiją.

Zapadło milczenie. Jedyne owady brzęczały i dżungla nie przestawała pulsować odgłosami wszelkiego stworzenia.

– Jak? – zdobył się wreszcie na pytanie bakałarz.

Mężczyzna niezgrabnym gestem wskazał otoczenie.

– Ot tak. Zamorzą nas głodem i pragnieniem. Błagaj o deszcz, bo tylko wtedy napelnimy żołądki.

– To po co nas więżą? Dlaczego od razu nie zabiją? – Xiao walczył z łamiącym się głosem.

– A kto ich tam wie. Ale z oddziału, co go ogarnęli wcześniej, jednego rozstrzelali z łuku. Tak mówił mi ten – skinął w kierunku leżącego obok trupa – zanim sczeźł. Podobno dlatego, że miał włosy na twarzy, a oni na takich polują w dwójnasób.

Patrz! – Wydał otoczone niezdrowo czerwoną obwódką usta. – Też miałem wąsy, ale wydarłem je sobie co do włosa. I dlatego wciąż żyję.

Znów umilkli. Przez głowę Xiao galopowały tabuny myśli. Nie chciał, nie chciał, nie chciał umierać! Nie tutaj! Nie tak! A gdyby położyć się, udąć zmarłego, czekać... Ale jak przetrwać pośród trupów? I na co czekać? Na odsiecz? Przecież jest dezerterem, od swoich też czeka go śmierć, i to wcale nie lżejsza. Jęknął, łykając łzy.

– Na imię mi Feng Jian – przerwał milczenie mężczyzna. – Pochodzę z Północnej Stolicy. Przez wiele miesięcy pełniłem służbę na naszym brzegu rzeki, ale potem zostałem wysłany na zwiad na drugą stronę. Napadli nas w Wąwozie Świerszcza i wybili do nogi. Kiedy mnie tu przywiedli, żyli jeszcze żołnierze z innego oddziału. Ich pojмали połowę i zamknęli tutaj, a resztę ścięli. Ostatni z tamtych zmarł dwa dni temu. Ukąsił go pająk. Ta stara to chyba królowa dzikusów. Widziałem, jak wybrała jednego z moich towarzyszy z klatki. Potem słyszałem krzyki, ale nie wiem, co się z nim stało. Najgorzej jest w nocy. Nie można spać. Wszystko się rusza. Lepiej położyć się na kilku ciałach, to mniej gadzin do ciebie dojdzie. Ale uważaj. Z góry spuszcza się węże. Jak spadnie deszcz, to aż roi się tu od żab. Zjedz, ile zdołasz pomieścić. Na zapas nie zabijesz, bo na drugi dzień zgniją. Inaczej zostanie ci tylko...

– Dosyć!

Straszny szept Xiao zamknął Fengowi usta. I znów zapadło milczenie. Xiao usiadł ciężko pod kratą i ukrył twarz w dłoniach.

Aby się przekonać, jaki los spotkał uwięzionego Xiao, trzeba przeczytać następnego rozdział.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Fantastyka w nowej formie

Oficyna wydawnicza

RW2010

Dobre ebooki
w dobrej cenie

www.rw2010.pl